

MARGINESY

J.P. O'CONNELL

HOTEL  
PORTOFINO

PRZEŁOŻYŁ PIOTR KRÓLAK

*Hotel Portofino*

COPYRIGHT © J.P. O'Connell, 2021

Published by arrangement with Simon & Schuster UK Ltd  
1st Floor, 222 Gray's Inn Road, London, WC1X 8HB, A CBS Company

All rights reserved. No part of this book may be reproduced  
or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical,  
including photocopying, recording or by any information storage  
and retrieval system without permission in writing from the Publisher.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Piotr Królak

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2024

Bella pomyślała, że przygotowywanie pokoi dla nowych gości przynosi jej wiele satysfakcji. Po rozmowie z Cecilem zdecydowała się umieścić panie Drummond-Ward w apartamencie Epsom. Nie tylko miał widok na morze, lecz także był jasny i przewiewny, wyposażony w mahoniowe łóżka, a jego ściany zdobiła tapeta z delikatnym, nieprzytłaczającym roślinnym wzorem.

Zbyt wiele wzorów zawsze było pomyłką. Mogą kusić ludzi, żeby zatrzymali się i im przyjrzeni, starali się rozpracować grę linii i kształtów. Jednak czasem – zarówno w życiu, jak i urządzaniu wnętrz – lepiej jest nie zauważać żadnych wzorów.

W każdym razie Bella nie mogła sobie pozwolić na to, żeby się zatrzymywać – miała za dużo do zrobienia.

Przeszła przez pokój, w którym Francesco i Billy trudzili się nad przewróceniem materaca na drugą stronę.

– Silny z ciebie chłopak – rzuciła do Billy’ego, czerwonego na twarzy i zdyszanego. – Spróbujcie jeszcze raz.

– Ale on jest strasznie ciężki, pani Ainsworth.

– To końskie włosie – wyjaśniła Bella. – Dzięki niemu tak wygodnie się na nim śpi.

– Ale w środku jest też metal, mogę go wyczuć.

– To sprężyny, Billy.

Gdy Billy kręcił z niedowierzaniem głową, do środka wparowała Paola z naręczem świeżej, przed chwilą wyprasowanej pościeli. Została sprowadzona z Londynu – z samego Heala przy Tottenham Court Road. Co prawda brytyjski sklep w Bordigherze również sprzedawał pościel – oraz podstawowe produkty, jak gin Gordon’s czy herbatniki

Huntley and Palmers – i wiele rodzin imigrantów było zadowolonych z jego oferty.

Jednak w hotelu Portofino znajdowało się miejsce tylko dla tego, co najlepsze.

A to oznaczało miękką bawełnianą pościel z grubej przędzy. Prześcieradła, które aż trzeszczą po zdjęciu ze sznura do suszenia.

Kiedy materac został już przewrócony jak należy, Billy zmył się, żeby pomóc swojej matce w kuchni. Paola zabrała się do ścielenia łóżka, podczas gdy Francesco ustawił wazon z fioletowymi irysami na stoliku kawowym.

Bella lubiła sama przygotowywać łazienki, a w hotelu Portofino lepsze apartamenty miały własne pokoje kąpielowe. Wraz z Cecilem zainwestowali w całkowitą nowość, jaką była gorąca woda z kranu. W obecnych czasach ludzie oczekiwali możliwości wzięcia kąpeli – bez całego cyrku związanego z obecnością służących dokładających drewno do pieca. Poza tym niektóre starsze technologie były, szczerze mówiąc, dość niebezpieczne. Wszyscy słyszeli historię o wybuchu bojlera w Castle Brown. Jakiś nieszczęsny angielski turysta wyłączył go w złym momencie – i proszę! – trzy miesiące później nadal trwał tam remont.

Stąpając po wypolerowanych mozaikowych kafelkach, Bella położyła świeży biały ręcznik obok umywalki i świecę zapachową na półce przy wielkiej wannie na nóżkach w kształcie lwich łap. Poprzedni lokatorzy apartamentu, z kwietnia – starsza para, okropne marudy z Guildford – narzekali na zapach. Belli nie udało się wyczuć niczego podejrzanego. W przypadku pań Drummond-Ward nie zamierzała jednak ryzykować.

Kiedy wyszła, Paola skończyła już słać łóżko i stała obok niego, czekając na osąd Belli. Paola była wdową wojenną ze wsi. Miała duże ciemne oczy i kręcone kruczoczarne włosy, związane z tyłu tak, że spływały gładko po szyi. Była równie atrakcyjna, co niezawodna. Ale Bella zauważyła ostatnio zmianę. Nową ostrożność połączoną z czymś

bardziej pierwotnym i sugestywnym. Trudno ująć to w słowa, ale gdyby Paola była mężczyzną, to Bella powiedziała, że się wywyższa.

Narzuta wymagała jedynie odrobiny dopieszczenia. Bella cofnęła się i skinęła głową, aprobując dzieło pokojówki.

– *Eccellente* – oświadczyła z uśmiechem.

Paola też się uśmiechnęła, unikając jednak przenikliwego spojrzenia pracodawczyni.

„Dlaczego się martwię?“, zapytała Bella samą siebie. „Dlaczego nie mogę się odprężyć?“

Jej racjonalna strona wiedziała, że odpowiedź jest oczywista. Od tego lata zależało tak wiele. Nie tylko reputacja hotelu, lecz także przyszłość Luciana i – przyznanie tego martwiło ją, ale nie było innego wyjścia – jej małżeństwo z Cecilem. Czasami wydawało się, że wisi na włosku.

Przynajmniej mogła powiedzieć, że jest zadowolona z personelu.

Betty – ich kucharka – i jej syn Billy towarzyszyli im już wcześniej w Londynie i Yorkshire. Byli jak rodzina i Bella ufała im bezgranicznie, chociaż Bóg wie, że wciąż usiłowali odnaleźć się w tym nowym, obcym świecie. Duże nadzieje wiązała z Constance – nową nianią Lottie, poleconą przez Betty.

Z kolei Paola pozostawała niewiadomą. Godzina w jej towarzystwie sprawiała, że Bella zaczynała się zastanawiać, czy w ogóle rozumie Włochów. A tak bardzo tego pragnęła.

Od najmłodszych lat miała obsesję na punkcie Włoch. W szkole z internatem powiesiła przy łóżku reprodukcje słynnych włoskich obrazów i była wściekła, gdy prowadzące placówkę zakonnice poprosiły ją, by zdjęła *Narodziny Wenus* Botticellego, bo uznały je za nieprzyzwoite. Dla Belli Włochy oznaczały prawdę, piękno i dobro. Były położoną wysoko na cyplu latarnią morską, promieniującą snopami czystego śródziemnomorskiego światła, które jak brzytwa przecinały mrok wilgotnego, zadymionego Londynu.

Cecil też lubił Włochy. W każdym razie tak twierdził. Ale to Bella wybrała Portofino na miejsce ich podróży poślubnej.

Westchnęła na wspomnienie tamtych beztrudnych dni. To takie dziwne, że córka poczęta na tamtym wyjeździe była teraz wdową, a ich syn weteranem, który został ranny w najgorszej wojnie, jaką ktokolwiek pamiętał. Co dziwniejsze, był rok 1926, a Bella miała czterdzieści osiem lat.

Czas minął tak niepostrzeżenie.

Oczywiście, była też inna strata. Ale Bella zepchnęła ją tak głęboko, jak tylko się dało. Gdyby pozwoliła jej się umocnić, nie myślałaby o niczym innym.

To, z czym naprawdę się zmagala, to fakt – niezaprzeczalny – że ona i Cecil byli kiedyś młodzi i zakochani; spędzali łagodne, upojne noce, wpatrując się w lśniąca wodę, a potem pływali nago w zatoce Paraggi, gdy słońce wschodziło nad górami.

W trakcie tej pierwszej podróży do Portofino towarzyszyły im namiętne pocałunki w księżycowej ciszy bocznych uliczek oraz mnóstwo nowych smaków i doznań – słone, ciągnące się prosciutto i figi tak świeże, że pękały na jej języku.

Podczas gdy Cecil grał w tenisa w hotelu, Bella wychodziła i podążała starożytnymi szlakami mułów, prowadzącymi do farm na wzgórzach i gajów oliwnych. Spoglądała przez zamknięte bramy na ogrody pstrzące się kwiatami i zastanawiała się, kto może tam mieszkać – i czy kiedykolwiek ona sama wprowadzi się do takiego miejsca? Przypastrywała się koronczarkom na miejskim placu, a potem kładła się na ciepłych skałach, spijając promienie słońca, gdy jaszczurki przemykały po jej gołych nogach.

Oczywiście tamte czasy były o wiele bardziej formalne – kobieta bez towarzystwa budziła zdziwienie i dezaprobatę. Ale Bella nie pozwoliła, żeby to ją powstrzymało. Dlaczego, u licha, miałoby? Była

kobietą nowoczesną, jak te, o których czytała w powieściach, i właśnie doświadczała nowej rzeczywistości.

Pewnego dnia, zwabiona pasiastą fasadą, wspięła się do stojącego wysoko nad zatoką kościoła San Martino. Poza starą kobietą z czarnym szydełkowym szalem na głowie nie było tam nikogo. Wdychając zapach kadzidła, Bella zanurzyła palce w wodzie święconej i przeżegnała się – nie była katoliczką, ale wydawało się to słuszne. Poczula się tak, jakby grała, a jednocześnie w czymś uczestniczyła, i uderzyło ją to jak rodzaj oświecenia; coś, co może odłożyć i wykorzystać później.

Tak wiele w życiu opierało się na rytuale i spektaklu, zwłaszcza teraz, gdy prowadziła hotel, odgrywając rolę zarówno kierownika, jak i osoby obsługującej gości. Niemądrze byłoby nazwać to, co zrobiła, powołaniem. Ale miało to poniekąd wymiar religijny. A ona wiedziała, że była w tym dobra, co czyniło wspomnienie początkowego sceptycyzmu Cecila jeszcze bardziej bolesnym.

– Otworzyć hotel? W Portofino? – Siedzieli w salonie swojego wysokiego, wąskiego domu w Kensington, Cecil dolewał sobie whisky single malt. – Dlaczego mielibyśmy to zrobić?

Wiedział doskonale, jak ją stłamsić. Ale tym razem nie zamierzała się poddać.

– To byłaby przygoda – powiedziała radośnie. – Nowy początek. Sposób na zapomnienie o wojnie i wszystkich okropnych rzeczach, które wyrządziła naszej rodzinie.

– Prowadzenie hotelu to bezsensowna harówka. Wyobraź sobie bzdury, którymi musiałabyś się zajmować. Wybór odpowiedniego rodzaju krzeseł na taras. Organizowanie jednodniowych wycieczek do muzeów. To wszystko jest takie...

– W stylu klasy średniej? Przedmieść?

– No cóż, o tym nawet nie wspominając. – Cecil wykrzywił usta, szukając właściwego słowa. – Takie... prozaiczne. Co byłoby

w porządku, gdyby nie to, że ty, Bella, nigdy nie miałaś w sobie nic prozaicznego. To powód, dla którego cię poślubiłem. W każdym razie jeden z nich. – Opadł z westchnięciem na ulubiony fotel. – Poza tym w dzisiejszych czasach panuje duża konkurencja. O ile masz nadzieję przyciągnąć turystów lepszego sortu.

Nie można było temu zaprzeczyć. Co roku w listopadzie odbywała się migracja ludzi z brytyjskich klas wyższych do bardziej słonecznych regionów, gdzie pozostawali do końca zimy. Niektórzy ręczyli za Cannes, inni woleli weneckie Lido lub zdrowotne właściwości Baden-Baden. Biarritz z kolei sprawdzało się w roli azylu, gdy upał na Riwierze Francuskiej stawał się nie do zniesienia.

Riwiera Włoska wydawała się zaś stosunkowo nieodkryta. Była tu oczywiście brytyjska kolonia – gdzie na świecie takiej nie było? – a większe hotele miały nawet korty tenisowe i baseny.

Ale Bella miała nadzieję przyciągnąć inną klientelę.

– Wyobrażam sobie raczej typowy letni hotel – powiedziała. – Nie schronienie dla wyrzutek z socjety.

Cecil udał, że wzdycha.

– No już, już! Snobizm *à rebours* zawsze jest w złym guście.

– Nie jestem snobką, ani *à rebours*, ani żadną inną. – Bella starała się, żeby w jej głosie nie było słycać gniewu. – Chcę tylko, żeby hotel spodobał się ciekawym ludziom. Ludziom, z którymi faktycznie chciałabym porozmawiać.

– Takimi jak artyści.

– Tak.

– I pisarze.

– Mam nadzieję.

– Ludziom o radykalnych poglądach. – Ton Cecila był wyraźnie szyderczy.

– Niekoniecznie.

– Ludziom, którzy nie są z wyższych sfer jak ja.



Na to Belli już nie starczyło cierpliwości.

– Nie bądź śmieszny.

– Ani biedni jak ja. Zakładam, że twój ojciec sfinansuje to przedsięwzięcie?

– Na pewno chętnie nam pomoże.

Cecil uniósł szklankę w kpiącym geście.

– W takim razie wzniesmy toast za Jego Hojną Wysokość.

Z biegiem lat Bella nauczyła się ignorować sarkazm Cecila, wiedząc, że jest to przykrywką dla braku pewności siebie. Była już tym zmęczona. Ale teraz skoncentrowała się na zaangażowaniu go, by poszukał w gazetach i czasopismach ogłoszeń dotyczących nieruchomości, podczas gdy ona przejrzałaaby broszury biur turystycznych. W ten sposób czułby się, jakby miał w tym planie swój udział. A poza tym potrafił być zaskakująco zaradny – wręcz pomysłowy – kiedy poświęcał się jakiejś sprawie.

Na Riwierze nie brakowało domów. Ale nic, co widzieli w broszurach, nie wydawało się odpowiednie. Nieruchomości były albo za duże, albo za małe, albo znajdowały się w lepiej znanych, ale nadmiernie rozwiniętych kurortach Santa Margherita i Rapallo, podczas gdy Bella nastawiła się na Portofino, które miało bardziej kameralny charakter.

Szukali przez kilka miesięcy i byli bliscy rezygnacji, gdy pewnego zimowego wieczoru Cecil od niechcenia wyciągnął spod pachy poranny numer „Timesa” i skierował uwagę Belli na ogłoszenie, które zakreślił swoim ulubionym burgundowym atramentem:

*Zabytkowa willa w Portofino, położona na eleganckim terenie ze wspaniałym widokiem na morze. Blisko miasta i plaży. Doskonała na „pensione”. Tylko poważne oferty, szczegóły pod Grosvenor Square 12, Mayfair.*

Trzy dni później znaleźli się we Włoszech, drżący z podniecenia, ale zdenerwowani, że po wszystkich ich wysiłkach – podróż była koszmarnym połączeniem choroby morskiej i opóźnień przy przejazdach – dom może ich rozczarować albo przynajmniej okazać się mniej doskonały w rzeczywistości niż na zdjęciach, które zaprezentował im przy herbacie sprzedający go bardzo wiktoriański staruszek cuchnący talkiem.

Żwirowy podjazd obsadzony palmami prowadził do dużej, białej, żółtej willi z przysadzistą wieżą, przypominającej piętnastowieczny wiejski dom. Dziwnie toskańskiej, jak zauważył Cecil, ale pięknej – naprawdę pięknej. Uczucie ulgi zalało ciało Belli jak opiat. Nigdy nie zapomni doniosłej ciszy, gdy ciężkie dębowe drzwi otworzyły się i po raz pierwszy stanęli w chłodnym marmurowym holu.

– *Vi piacerà, vedrete* – przekonywał agent. – Spodoba wam się. A teraz tam mieszkali!

Z korytarza Bella usłyszała, jak otwierają się drzwi i mężczyzna odchrząkuje. Był to przyjaciel Luciana, Nish – skrót od Anish. Mieszkał tu już od kilku tygodni – łagodna, uczona dusza, która bez wątpienia uratowała życie Luciana po wojnie.

Ale kiedy Bella schodziła po schodach, dobiegły ją inne dźwięki – kobiece głosy podniesione w gniewie albo co najmniej zaskoczeniu. Alice wybiegła z kuchni, prawie wpadając na matkę u podnóża schodów. Wyglądała na wzburzoną.

– To Betty – zawołała. – Znowu robi aferę. Pomożesz mi ją uspokoić?

Kobiety udały się do kuchni, gdzie w promieniach słońca wpadających przez otwarte na dziedziniec drzwi błyszcząca imponująca kolekcja miedzianych rondli. Bellę dręczył zapach pieczonego chleba. W całym tym rozgardiaszu zapomniała rano zjeść śniadanie.

Betty stała przy piecu, jej rumianą twarz wykrzywił grymas.

– O co chodzi, Betty? Co się stało? – zapytała Bella, podchodząc do niej.

– Nic, pani Ainsworth. Radzę sobie.

– Radzisz sobie?

Nie odwracając się, Betty wskazała na kawałek wołowiny, który leżał za nią na stole.

– To nie przypomina żadnego mięsa, jakie wcześniej gotowałam.

– Ale to wołowina? – Bella skinęła na Alice.

Razem spojrzwały na sztukę mięsa.

– Och, jasne, to wołowina. Włoska wołowina.

– A jest jakiś problem z włoską wołowiną?

– Nie ma na niej tłuszczu – odparła Betty rzeczowo.

– A czy to... coś złego? – odezwała się Alice.

Betty popatrzyła na Alice jak na głupią.

– Nie będę miała wytopionego tłuszczu! Na moje puddingi! Albo ziemniaki! A skoro o nich mowa, nigdy czegoś takiego nie widziałam. – Wyjęła jednego z rondla i uniosła, trzymając go kciukiem i palcem wskazującym. – Woskowate, podłużne jak pociski. Ani trochę jak porządne kartofle.

– Jestem pewna, że poradzisz sobie znakomicie – powiedziała Alice. – Jak zawsze, Betty.

– Zrobię, co w mojej mocy, pani Mays-Smith.

Alice odeszła, zostawiając Bellę samą z Betty. Nie po raz pierwszy Bellę uderzyło to, jak przytłoczona wydawała się starsza kobieta, i poczuła się odrobinę winna. Przekonanie Betty, by opuściła Londyn i pojechała za Ainsworthami do Włoch, nie należało do łatwych, zwłaszcza że przeprowadziła się z Yorkshire dopiero kilka lat wcześniej. Nie tylko nigdy do tej pory nie była za granicą – nadal uważała Londyn za niebezpiecznie obcy.

Ten krok był największym, najodważniejszym przedsięwzięciem w życiu Betty, a Bella ciągle ją za to chwaliła. Czasami jednak martwiła

się, że jej zachęty przerodziły się w przymus. A przecież tego nie chciała. Zawsze pragnęła być dobra, zwłaszcza dla kogoś takiego jak Betty.

Jak wiele osób, Betty wciąż dochodziła do siebie po wojnie. Straciła dwóch synów na froncie zachodnim. Dwóch synów! Oczywiście nadal miała Billy'ego – ale jak musiała się czuć za każdym razem, gdy widziała Luciana? To tak, jakby dzień po dniu wbijać sobie w stopę odłamek szkła.

Najtrudniejsze okazało się wyjaśnienie jej atrakcyjności Włoch, która dla Belli była oczywista. Postanowiła pokazać Betty niektóre pocztówki, zebrane jeszcze podczas miesiąca miodowego. Ręcznie kolorowane, przywodzące na myśl słońce i szczęście. Ta strategia wydawała się działać – przekonała starszą kobietę, że Włochy są bezpiecznym, cywilizowanym miejscem dla niej i jej pozbawionego ojca syna, mimo że niektóre doniesienia prasowe świadczyły o czymś wręcz przeciwnym.

– A co z jedzeniem? – spytała pełna podejrzliwości Betty.

Bella wyjęła z torby książkę. Betty przejechała pulchną dłonią po miękkiej zielonej okładce, po czym zmrużyła oczy, odczytując tytuł: *Włoska sztuka dobrego gotowania* Pellegrina Artusiego.

– Znajdziesz tu wszystko, co musisz wiedzieć – powiedziała Bella. – Nikt nie pisze lepiej o włoskiej kuchni.

Betty uśmiechnęła się. Była słusznie dumna ze swojej umiejętności czytania i pisania.

– Zacznę czytać jeszcze dziś wieczorem.

Pierwsze przyrządzone dania nie należały jednak do jej największych kulinarnych osiągnięć. Szczególnie godna uwagi była próba ugotowania minestrone, bynajmniej nie ze względu na ostateczny sukces.

– Co to jest, u licha? – zapytał Cecil, mieszając rozmiękłe warzywa.

Bella ostrożnie spróbowała zupy. Była zaskakująco ostra w smaku, na tyle, że serwetką musiała stłumić kaszel.

– Chyba użyła czosnku niedźwiedziego. I to sporo. No cóż. To nie ma znaczenia. – Odłożyła łyżkę. – Musimy ją wspierać, Cecil. Poza tym nie będzie codziennie gotowała włoskiego jedzenia. Wielu naszych gości wybierze placek z wołowiną i nerkami.

Po kilku tygodniach sytuacja wyglądała już zupełnie inaczej. Betty była pracowita i kompetentna. Billy robił wrażenie godnego zaufania młodzieńca, który miał zostać wspaniałym boyem hotelowym. Bella planowała nauczyć go wkrótce obsługi stolików – subtelnej sztuki uważnego krążenia między nimi.

Bella delikatnie chwyciła Betty za ramię.

– Wykonujesz wspaniałą robotę – powiedziała. – Jedzenie, które przyrządzasz, jest nie z tego świata.

Betty zarumieniła się z wdzięczności.

– Jest pani bardzo uprzejma, pani Ainsworth.

– A Billy ci pomaga, tak?

Betty skinęła głową.

– Właśnie wysłałam go, żeby przyniósł trochę śmietanki do pudingu cytrynowego.

– To dobrze. I nie zapominaj, że niedługo przyjedzie Constance. Będzie miała mnóstwo czasu, żeby pomóc w kuchni, kiedy nie będzie zajmowała się Lottie.

W tym momencie starsza kobieta odwróciła się do Belli. Jej ciało jakby całkowicie zeszywniało.

– Jaki mamy dzisiaj dzień?

– Czwartek.

– O nie... – Zakryła usta dłonią.

– O co chodzi, Betty?

– To dzisiaj. Constance przyjeżdża dzisiaj. Pociągiem z Genui.

– Ale to jest pociąg, na który wyjechał Lucian. Pociąg, którym przyjeżdżają panie Drummond-Ward.

– Och, pani Ainsworth. – Betty wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem. – Zaufała mi pani, że zajmę się wszystkimi przygotowaniami, ponieważ Constance jest przyjaciółką rodziny...

– Nie panikuj, Betty. Możliwe, że Lucian jeszcze nie wyjechał. Wtedy powiemy mu, żeby odebrał też Constance.

Bella próbowała brzmieć pewnie i optymistycznie, ale sytuacja była daleka od ideału. Z tego, co wiedziała, Julia Drummond-Ward nie była typem kobiety, która zareagowałaby dobrze na dzielenie powozu ze służącą. W każdym razie Lucian prawie na pewno znajdował się już w połowie drogi do stacji Mezzago. Bella rozmawiała z nim wcześniej, kiedy czekał, aż Francesco zaprzęgnie konie. To był moment, by wspomnieć o Constance.

Wybiegając do holu, Bella zawołała Luciana – bardziej w nadziei niż oczekiwaniu. Kiedy jej głos wciąż odbijał się echem od ścian, z biblioteki wyłonił się Nish.

– Nie ma go tutaj, pani Ainsworth. Wyruszył jakąś godzinę temu. Martwił się, że spóźni się na spotkanie z Rose.

– I matką Rose – przypomniała mu Bella.

– Oczywiście. Z nią też. – Nish uśmiechnął się. – Czy mogę w czymkolwiek pomóc?

– Nie, nie. – Bella machnęła ręką. – Odpoczywaj i baw się dobrze. Jesteś naszym gościem.

– Ale to wielki tydzień dla hotelu. Wielki tydzień dla was.

Nie dało się temu zaprzeczyć. W poniedziałek zaczęli przybywać goście – najpierw lady Latchmere i jej cioteczna wnuczka Melissa, potem hrabia Albani i jego syn Roberto. Do weekendu hotel się zapełni.

Bella była szczególnie podekscytowana rezerwacją hrabiego. Jego przyjazd będzie sygnałem dla szerszego grona, że hotel Portofino jest również miejscem dla Włochów. Cecil nie miał pewności, czy to sygnał, który powinni wysyłać, ale obecność jego samego w hotelu stawała się coraz bardziej ulotna i nieprzewidywalna.

Gdzie on teraz właściwie się podziewał? Czy wróci, zanim pojawią się panie Drummond-Ward? Bella nie chciała być sama, kiedy po raz pierwszy spotka się z Julią. Znała historię jej i Cecila. Nie mogła zaprzeczyć, że żywiła wobec tej kobiety silne, skomplikowane uczucia. Ciekawość, zazdrość – nawet strach. Po co jej mąż, jeśli nie po to, żeby ją uspokoić w takiej sytuacji?

– Wszystko w porządku, pani Ainsworth? – Głos Nisha wyrwał Bellę z zadumy.

– Po prostu martwię się o Constance – odparła. – Nową nianię. Najwyraźniej jest w pociągu, na który wyjechał Lucian. Ale teraz nic nie możemy zrobić. Będzie musiała sama do nas trafić.

– Na pewno nic jej się nie stanie – powiedział Nish. – Kiedy dotarłem do Mezzago, nie mogłem się przedrzeć przez wrzeszczących taksówkarzy.

Bella zaśmiała się.

– Dlaczego to mnie wcale nie uspokaja?

\*

Bagnet naprawiony. Lucian postawił mocno jedną stopę na stopniu, a drugą na rozklekotanej drabinie opartej o ścianę okopu. Przycisnęła głowę do najwyższego szczebla, zamknęła oczy i wyszeptała modlitwę.

Czy Bóg słuchał? Lucian nie dostrzegał na to zbyt wielu dowodów.

Zmierzch zapadł ciężko, łącząc niebo i ziemię w bezkształtną szarą masę. Lodowate krople deszczu kłuły twarz Luciana jak igły. Jego stopy i ręce były zmarznięte, ale pot wciąż spływał mu po plecach. Otaczał go stłumiony grzmot dźwięków. Kiedy ostatni raz w tej wrzawie zapanowała cisza? Lucian przestał to śledzić. Zdążył przyzwyczoić się do tego świata i zimnego, chorego strachu.

Być może jakaś jego część od zawsze była do tego przyzwyczajona. W szkole, czekając na bicie za jakieś blahe wykroczenie, Lucian

dopracował do perfekcji strategię radzenia sobie. Tak bardzo zapadał się w siebie, że nie był w stanie rejestrować bólu.

Próbował teraz tej samej taktyki, pragnął skupić się na swoim oddechu i pulsowaniu w uszach. Nie mógł jednak zignorować odległych grzmotów haubicy, wycia i huku pocisków. Każda mijająca sekunda wydawała się wiecznością.

I wtedy nadszedł – upiorny chór gwizdów wzdłuż linii. Wykrzykiwane nawoływania, żeby się przygotować. Lucian trzymał się błotnistych brzegów, próbując się uspokoić. Był zmarznięty na kość. Kiedy pocisk pękł, małe cząsteczki leciały jak odłamki muru.

Nagły gwizd przeszył jego lewe ucho. Oznaczało to tylko jedno. Że nadeszła jego kolej. Jego kolej na wykonanie zadania i wspięcie się na górę...

Oczy Luciana otworzyły się, nieprzygotowane na widok, który je powitał: krępy mężczyzna z wąsami, w czerwonej czapce z daszkiem i długim płaszczu zapinanym na mosiężne guziki. Napierał na Luciana i pokrzykiwał po włosku: *Signore! Il treno da Nervi sta arrivando!*

Po czym odsunął się ostrożnie, z rękami uniesionymi w pokornym geście.

Lucian usiadł powoli, serce biło mu mocno.

Znowu to samo. Widocznie przysnął. Często, kiedy spał, śniło mu się Cambrai. Okropne sny, które zabierały go z powrotem na linię frontu.

Hałas powtórzył się i Lucian zadrżał, chwytając za siedzenie. Gdzie on był? Rozejrzał się wokół siebie – i natychmiast uspokoiły go terakotowe kafelki i jasne plakaty, słońce wpadające przez okna.

W porządku.

Poczekalnia na stacji Mezzago. Panika zniknęła.

Masywna sylwetka naczelnika stacji wypełniła drzwi. Wyjął gwizdek z ust, spojrzał na Luciana i wskazał kciukiem stojący pociąg.



Lucian wstał i wyszedł za nim na peron. Podobieństwo mężczyzny do jego dawnego sierżanta było niepokojące. Z drugiej strony te zmory pojawiały się ciągle.

Ściana gorącego powietrza, którą z nagłą przekroczył, wydawała się cudowna, regenerująca. Wziął głęboki oddech i wdychał zapach jaśminu i gorącego asfaltu. Peron był wypełniony pasażerami i tragarzami, parą i głosami. Lucian przeciskał się przez tłum w stronę wagonu pierwszej klasy.

Był tutaj, by odebrać starą przyjaciółkę swojego ojca, Julię Drummond-Ward, i jej córkę. Stara przyjaciółka... Lucian doskonale wiedział, co to znaczy, chociaż rzadko rozmawiali na takie tematy.

– Czy spotkałem już kiedyś panią Drummond-Ward? – zapytał matkę.

– Tylko raz, kiedy byłeś mały.

– Więc jak ją rozpoznam?

Uśmiechnęła się zagadkowo.

– Podejrzewam, że możliwość pomyłki będzie ograniczona. Choć jeśli się martwisz, to jestem pewna, że twój ojciec ma gdzieś schowane stare zdjęcie.

Peron był węższy, niż zapamiętał Lucian. Duża grupa rzuciła się do przodu, zasłaniając mu widok. Zajęło trochę czasu, zanim dostrzegł w oddali posągową postać kobiety, którą rozpoznał natychmiast i bezbłędnie.

Pani Julia Drummond-Ward.

Wyszła z wagonu i stała na peronie, ściskając parasolkę; starała się wyglądać na opanowaną.

– *Scusi!*

Przyspieszając kroku, Lucian podszedł do niej i chciał użyczyć jej swojej ręki, ale nie skorzystała. Zamiast tego jej oczy przesunęły się z jego opalonej twarzy na białą koszulę bez kołnierzyka i podwinięte rękawy.

– Moja córka – powiedziała, wskazując na pociąg.

I wtedy Lucian po raz pierwszy zobaczył Rose: stojącą w drzwiach wagonu, przygotowaną do zejścia, ubraną w koronkową sukienkę z długimi rękawami i szarfą, która podkreślała jej szczupłą talię. Słomkowy kapelusz z szerokim rondem z trudem mieścił masę kręconych kasztanowych włosów. Jeśli wyglądała na nieco zmęczoną podróżą, nie umniejszało to jej niezwyklego, naturalnego piękna. Właściwie to je wzmocniło – uczyniło jeszcze bardziej naturalnym, o ile było to możliwe.

Rose przyłapała go na przyglądaniu się i odwzajemniła jego uśmiech. Lucianowi przewrócił się żołądek. Poczul się nieśmiały i – niezwykle uczucie – nieadekwatny.

Oczy starszej kobiety wciąż spoczywały na nim.

– *Nostri bagagli* – powiedziała nagle i wskazała na wagon bagażowy. Potem dodała równie głośno, ale wolniej, jak do dziecka: – Nasze bagaże. Jest osiem walizek. – Uniosła sześć palców i dwa kciuki. – *Otto*.

Lucian stłumił śmiech, gdy dotarła do niego prawda. Pani Drummond-Ward nie miała pojęcia, kim on jest. A trzeba przyznać, że wyglądał śniado, jak pewnie by powiedziała, ze swoją robotniczą opalenizną i kruczoczarnymi włosami.

Cóż, skoro myślała, że jest Włochem – będzie Włochem. Ukłonił się lekko.

– *Signora* – powiedział.

– I nie zgub żadnego z nich!

Pochylił głowę.

– *No, signora*.

Odwrócił się na pięcie i podszedł do wagonu bagażowego. Z ulgą zobaczył, że walizki pań są już ustawione na peronie, nadzorował tylko załadunek na wózek. Następnie przeszedł z powrotem przez stację, specjalnie trzymając się blisko bagażowego, i wyszedł na piazzettę.

Kilku naganiaczy z taksówek szukało klientów. Po uzgodnieniu, jak mu się wydawało, rozsądnej opłaty, Lucian załadował większość bagaży do samochodu tego, który wyglądał na najmniejszego oszusta. Reszta miała podróżować z paniami Drummond-Ward powozem należącym do hotelu Portofino; Lucian sam go wyremontował i jeździł nim do Mezzago jako nieformalny hotelowy woźnica.

Wrócił do miejsca, gdzie czekały kobiety. Zdawał sobie sprawę, że poruszał się zupełnie inaczej niż zwykle – bardziej tak, jak wyobrażał sobie sposób chodzenia włoskiego chłopca. Zawadiacko i dumnie, przynajmniej na tyle, na ile zdołało to znieść jego poharatane ciało.

Podróżniczki znalazły trochę cienia pod markizą. Mimo to pani Drummond-Ward krzywiła się i wachlowała – jej wełniany strój był zbyt ciepły na tę pogodę. Rose wydawała się mniej tym przejmować. Patrzyła ze zdumieniem na nowe otoczenie. Boże, jakaż ona była piękna. Lucian nigdy nie widział kogoś takiego – nie z bliska, na własne oczy. Wyglądała jak z magazynu o gwiazdach kina.

Lucian pragnął coś powiedzieć – przestać grać w tę śmieszną grę, którą sam rozpoczął. Ale nie wiedział, jak to zrobić, żeby nikogo nie urazić. Musiał też przyznać, że zabawnie byłoby się przekonać, czy ta gra może trwać; i czy faktycznie udałoby mu się ją wygrać, ponieważ bez wątpienia była to rywalizacja. Nie między Lucianem a Rose – nic nie mogło z nią konkurować – ale między nim a jej dumną matką o skwaszonej minie.

W ciągu pięciu minut Lucian umieścił kobiety w powozie. Pani Drummond-Ward zrobiła nieco zamieszania z powodu twardości siedzeń, ale szybko jej przeszło i usadowiwszy się wygodnie, zaczęła mówić, nie robiąc żadnych przerw.

Ruszyli brukowanymi uliczkami, które prowadziły do nadbrzeżnej drogi. Siedząc z przodu, Lucian marzył o odwróceniu się i zagadnięciu do pasażerów tak, jak zrobiłby to miejscowy kierowca. *Ecco la famosa*

*chiesa! Attenta al vestito, per favore...* Dałoby mu to również możliwość rzucenia okiem na boską Rose. Ale jego włoski był szczątkowy, a uwagi pani Drummond-Ward i tak nie udałoby się przyciągnąć.

Mówiła i mówiła. A jeśli podczas jakiejś rzadkiej chwili ciszy w strumieniu snobistycznych plotek Rose nie zareagowała wystarczająco szybko, matka zwracała jej uwagę: „Słuchaj mnie!”, Rose zaś odpowiadała: „Tak, mamó”, głosem tak pustym, że mógł uchodzić za wręcz krnąbrny.

Droga wyprostowała się po serii ostrych zakrętów i Lucian zaczął błędzić myślami. Niedługo później jednak rozmowa zesza na jego własną rodzinę, więc nadstawił uszu.

– To jeden z najstarszych rodów w hrabstwie – mówiła pani Drummond-Ward. – Znam Cecila, odkąd bylam małą dziewczynką.

– A co z panią Ainsworth? – Niewinne pytanie niewinnie zadane.

– O Boże, nie. Ona jest człowiekiem zupełnie innego rodzaju.

– Innego rodzaju?

– Nie udawaj głupiej, Rose. Wiesz doskonale, o co mi chodzi.

– Nie jestem pewna, mamó.

– To taka kobieta, która myśli, że nie ma nic dziwnego w otwieraniu hotelu. – Pani Drummond-Ward ściszyła głos. – Jej ojciec prowadzi garbarnię. I nie obchodzi go, kto o tym wie!

\*

Rose już dawno odkryła, że sposobem na radzenie sobie z jej matką było nieuleganie jej prowokacjom. W innym wypadku wywoływało się jej gniew, po nim zaś szybko następowały dąsy. Dużo lepsze były spokój i posłuszeństwo. Które oczywiście nie były równoznaczne z pasywnością – nie, jeśli Rose zachowywała się tak celowo. Zaskoczyło ją to, za jak bolesne nadal uważała komentarze matki, mimo że była już dorosłą, dwudziestokilkuletnią kobietą.

Niedługo – proszę, niech to będzie już niedługo! – wyjdzie za mąż. Więc dlaczego nie potrafiła zignorować lekceważenia i poniżania ze strony mamy?

Dobrym przykładem była dzisiejsza sytuacja w pociągu. Kiedy wjeżdżał na stację, Rose wychyliła się przez okno, żeby lepiej widzieć śliczny mały peron i wszystkich pełnych życia ludzi. Ale mama nie była z tego zadowolona. Szturchnęła ją w bok – tak, naprawdę szturchnęła! – swoim nieszczęsnym parasolem.

– Odejdź od okna, Rose! Pobrudzisz sukienkę!

Nie pozostało nic innego, jak zrobić to, co jej nakazano.

Gdyby tylko Rose mogła przyjechać do Włoch sama. Jakie to byłoby cudowne! Ale oczywiście to nie wchodziło w rachubę. Nigdy. Młoda dama powinna się znajdować pod opieką przyzwoitki. A tą przyzwoitką musi być... mama.

Ale dlaczego? Mama nienawidziła „zagranicy”, jak to nazywała. Jej entuzjazm dla tej podróży osiągnął szczyt na samym początku, w chwili, gdy ona i Rose przybyły do portu w Rzymie, pierwszego przystanku ich wyprawy.

Zatrzymały się na kilka dni w szacownym pensjonacie niedaleko Schodów Hiszpańskich. Rose po raz pierwszy odwiedzała Włochy i trzęsa się z nerwowego podniecenia, marząc o spaghetti i wypróbowaniu swojego włoskiego, którego mozolnie usiłowała się uczyć ze starej książki do gramatyki znalezionej w bibliotece. Ale matka, przy tych kilku okazjach, kiedy zgodziła się towarzyszyć jej podczas zwiedzania, była jeszcze bardziej niechętna i niewzruszona niż zwykle. Rose czuła się tak sfrustrowana, że w końcu postanowiła dać upust swojemu rozczarowaniu.

Oczywiście mama zignorowała te protesty, które w ustach Rose zabrzmiały jak nerwowe, żalose uwagi.

– Jesteś skłonna przesadnie idealizować to miejsce. Jako dziewczyna odbyłam swoje *grand tour*, więc dobrze znam Włochy, może za

dobrze. Nigdy nie zapominaj, że jest to w zasadzie kraj niepiśmiennych rolników.

– Dante był Włochem – sprzeciwiła się Rose.

Miała nadzieję, że się nie pomyliła. To brzmiało wiarygodnie.

Mama zaśmiała się chłodno.

– Co ty wiesz o Dancem? Dante nie pomoże ci znaleźć odpowiedniego męża.

Teraz Rose czuła się, jakby była owinięta ciężkim płaszczem. Nie mogła się ruszyć, nie mogła oddychać. Tak bardzo chciała go ściągnąć i... być sobą. Cokolwiek to oznaczało. Może uda się jej to w hotelu Portofino.

Bo na pewno niedługo tam dotrą. Podczas gdy mama wyjaśniała jej na ucho okropności mieszkań socjalnych – „Zauważ, że tutaj ich nie ma. We Włoszech biedni są biedni i zadowoleni z takiego losu” – Rose chłonęła nieznane widoki wiosek, przez które przejeżdżali. Z górnych okien wyglądały dziewczyny o ciemnych brwiach, stare kobiety robiły na drutach przed domami, a dzieci bawiły się u ich stóp. To wszystko było takie czarujące. Żeby zrozumieć Włochy, trzeba spojrzeć nie tylko na sztukę, ale i na ludzi. Gdzie to przeczytała? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Miała okropną pamięć, mama zawsze na to narzekała.

Rose była szczególnie zafascynowana tyłem głowy woźnicy. Kosmyki czarnych kręconych włosów spływały mu po szyi. Nie sposób było nie zauważyć jego szerokich ramion, mięśni aż nazbyt widocznych pod białą koszulą bez kołnierzyka, pośrodku której znajdowała się szeroka plama potu.

Rose pragnęła skrycie, żeby się odwrócił, ale oczywiście nie zrobił tego, nie mógł. Musiał uważać na drogę, którą w ogóle trudno było uznać za drogę, bardziej przypominała wyżłobioną ścieżkę wyrąbaną w zboczu wzgórze.

„Mimo wszystko”, pomyślała. „Mimo wszystko. Byłoby miło zobaczyć jego twarz”.

Dotarli do Portofino w chwili, gdy z dnia uchodził najgorszy upał. Powóz podążał wznoszącą się, krętą drogą w nawałnicy luźnych kamieni i pyłu.

Po lewej stronie znajdował się zagajnik drzew pomarańczowych – a dokładnie chinotto. Rosły na nich gorzkie małe pomarańcze używane do aromatyzowania campari, jednego z ulubionych trunków Luciana.

Ich widok zadziwił go w trakcie pierwszej podróży do Ligurii, wzmacniając u niego poczucie, że zalane słońcem Włochy są w jakiś sposób przeciwieństwem wojny. We Francji, podczas tej strasznej zimy 1917 roku, kolega oficer pokazał mu dwie sklezione, zmrożone pomarańcze. „Spójrz na nie! Twarde jak piłki do krykieta!”

Cóż, tutaj nie było zmrożonych pomarańczy.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie Lucian zrobił, gdy został wypisany z rekonwalescencji i odzyskał siły na tyle, by skoncentrować się na dłużej niż dziesięć minut, było przeczytanie bardzo starego bedekera po Włoszech, należącego do matki. Uwielbiał zamieszczone w nim plany i mapy, bezkompromisowe, zjadliwe osądy restauracji i hoteli.

Postanowił pojechać na kontynent i malować jak jego idol, David Bomberg. Bo tym właśnie był – malarzem – i do diabła z jego ojcem! Lucian nie zamierzał słuchać wykładów człowieka, który nigdy w życiu uczciwie nie pracował.

Wszyscy jego przyjaciele planowali ucieczkę z Anglii, wydawała się bowiem podła i podupała. Najlepsi pisarze i artyści już się stamtąd wynieśli, zwłaszcza ci, którzy walczyli podczas wojny. W końcu po co tam zostawać? Mnóstwo patriotycznych przechwałek i niemal całkowita nieświadomość tego, co faktycznie wydarzyło się na polach śmierci we Francji i w Belgii.

– Anglia jest krajem filisterskim – powtarzał Nish – ale nie zdaje sobie z tego sprawy. Jej kultura niedomaga. To powód, dla którego imperium jest skazane na zagładę.

Dobry stary Nish. Zawsze było wiadomo, czego się po nim spodziewać.

Teraz Lucian zatrzymał powóz przed ostatnim zjazdem, żeby konie odpoczęły, a pasażerki miały szansę na podziwianie widoku: wysokich pastelowych domów wyrastających wokół zatoki i łodzi kołyszających się łagodnie na idealnej, lazurowej wodzie. Zakładał, że będą tego chciały – że będzie to dla nich równie doniosły widok, jak kiedyś dla niego. Ale podczas gdy Rose zareagowała drżącym westchnieniem, pani Drummond-Ward była skonsternowana.

– Dlaczego się zatrzymał? – usłyszał jej pytanie.

– Nie wiem. Pewnie po to, żeby pokazać nam widok.

– Ale ja nie chcę się zatrzymywać. – Lucian poczuł klepięcie w ramię. – Jedźmy dalej, proszę. – Zwróciła się do Rose: – Jak będzie: „Jedź do hotelu”?

– Próbuję sobie przypomnieć – odparła Rose.

– No to jak sobie przypomnisz, powiedz to woźnicy.

– *Vai in albergo?* – Rose wstrzymała oddech.

– *Certo* – odparł Lucian.

Po raz pierwszy od opuszczenia stacji odwrócił się i pochwycił spojrzenie Rose. Krótki uśmiech, który wymienili, wypełnił jego serce. „Rozgryzła mnie”, pomyślał. „A jeśli nie, to ma silne podejrzenia”.

Uśmiechając się, skierował wzrok znów na drogę i zmusił konia do ruszenia, zjechał ze wzgórza w stronę hotelu.